
RELACJE Z ZESŁANIA

By czas nie zatarł śladów naszych doświadczeń syberyjskich od wieków najdawniejszych aż po okres drugiej wojny światowej oraz w pierwszych latach po jej zakończeniu, a pamięć o tym trwała, redakcja „Zesłańca” postanowiła utworzyć nowy dział poświęcony tej problematyce. Spełniamy tym samym prośby wielu Czytelników, którzy przysyłają propozycje dotyczące publikowania swoich zesłańczych wspomnień, powołując się na zeszyt „Zesłańca” poświęcony Matkom Sybiraczkom, który spotkał się z wielkim zainteresowaniem.

Dział „Relacje z zesłania”, nawiązuje w pewnym sensie do serii „Biblioteka Zesłańca”, ukazującej się w Polskim Towarzystwie Ludoznawczym oraz do serii pod nazwą „Wspomnienia Sybiraków”, wydawanej w poprzednich latach przez Komisję Historyczną Zarządu Głównego Związku Sybiraków pod red. nieodżałowanej pamięci Janusza Przewłockiego, pomysłodawcy tego działu w naszym piśmie. Zesłańcze wspomnienia wydawane są także w poczytnej serii „Tak było... Sybiracy”, realizowanej przez Oddział Związku Sybiraków w Krakowie, pod red. Aleksandry Szemioth, przewodniczącej tamtejszej Komisji Historycznej oraz systematycznie drukuje je czasopismo „My Sybiracy” wydawane przez Oddział Związku Sybiraków w Łodzi. Mamy nadzieję, że przez taki zabieg edytorski wzbogacimy naszą historiografię o cenne źródła dotyczące deportacji Polaków na Syberię, do Kazachstanu, na Daleki Wschód i w inne rejony byłego Związku Radzieckiego. (red.)

*

Ryszard Glijer – Droga Sybiraka do wojska gen. Władysława Andersa

A myśmy szli do polskiego wojska
głodni, obdarci, i chorzy, a swoją drogę przez
tundry, puszcze i bezkresne stepy Sybiru znaczyliśmy
krzyżami na mogiłach tych co nie doszli.

R. G.

Ryszard Glijer urodził się w Kowlu w 1923 r. Ukończył 4 klasy gimnazjum. 13 kwietnia 1940 r. zesłano go z matką i młodszymi braćmi do Kazachstanu. W marcu 1942 r. wstąpił do armii gen. W. Andersa. W Teheranie powołany został do szkoły podchorążych piechoty. W ramach kontyngentu 20.000 żołnierzy, jakich zażądał gen. W. Sikorski dla uzupełnienia szeregów Wojska Polskiego w Wielkiej Brytanii, drogą przez Egipt, Palestynę i Południową Afrykę przybył do Szkocji. Tu po rozwiązaniu szkoły, z powodu zatopienia statku z 1-szą kompanią, wstąpił do nowo zorganizowanej szkoły „cichociemnych” jako Jednostki Specjalnej Sztabu Naczelnego Wodza. Po jej ukończeniu w stopniu kaprała podchorążego został instruktorem następnych roczników. W lutym 1944 r. wyjechał do Włoch z grupą elewów szkoły do zorganizowania Bazy nr 11 zaopatrującej w broń Armię Krajową i wysyłającej „cichociemnych” do kraju.

W grudniu 1944 r. otrzymał awans do stopnia podporucznika łączności i objął dowództwo kompanii w Szkole Radiotechnicznej w Safar koło Rzymu prowadząc zaję-

cia z radiotelegrafii. W 1946 r. powrócił do Anglii, gdzie był adiutantem dowódcy Polskiego Korpusu Przynależności, tłumaczem, oficerem łącznikowym i do spraw społecznych. Współpracował z Ministerstwem Pracy Rządu Jego Królewskiej Mości. Z wojska wystąpił na własne żądanie w marcu 1948 r. Potem pracował w Manchester w fabryce chemicznej produkującej CS₂ dla potrzeb przemysłu włókienniczego. W listopadzie tegoż roku na własny koszt powrócił do kraju na statku „Batory”.

W Puławach pracował w Państwowym Instytucie Weterynarii, a następnie w Puławskich Zakładach Przemysłu Bioweterynaryjnego na Michałowcu. Ukończył zaocznie Technikum Weterynaryjne, a następnie 2-letnie Studium Ekonomiczne i roczne – planowania i ekonomii. W 1984 r. odszedł na emeryturę ze stanowiska Głównego Ekonomisty – Kierownika Działu Planowania i Ekonomiki. 15 maja 1949 r. Komisja Weryfikacyjna Oficerów przy RKU Lublin-Powiat zatwierdziła mu stopień szeregowca. Posiada Srebrny Krzyż Zasługi z Mieczami, brytyjski „War Medal”, Krzyż Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie i wiele innych medali oraz odznaczeń brytyjskich i polskich. W kraju otrzymał Srebrny Krzyż Zasługi i Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski. W 2000 r. Ministerstwo Obrony Narodowej przywróciło mu stopień podporucznika, mianując do stopnia kapitana rezerwy. (red.)

*

Północny Kazachstan, Pawłodarskaja Oblast, Maksymogorkowski Rejon, Sieło Kaczyry. Drugi rok mojego pobytu na zesłaniu z matką i dwoma młodszymi braćmi. Pracowałem w stajni w rejonowym Ziemskim Oddziale. Opiekowałem się gniadą klaczą – Tamarą. Woziłem w teren inżyniera Tierychowa, który z ekipą ludzi prowadził w stepie odwierty w poszukiwaniu źródeł słodkiej wody. Któregoś dnia w lipcu, jak zwykle rano, poszedłem do pracy. Mieliśmy z Tierychowem jechać w step na kontrolę odwiertów z jednym z członków komisji, która urzędowała w rejonie. Zostawiłem Tamarę (klacz) przy płocie i poszedłem szukać inżyniera. Wstąpiłem do świetlicy i obraz jaki zobaczyłem przypominał mi „Ostatnią Wieczerzę” Leonarda da Vinci. Za stołem ustawionym pod ścianą, naprzeciw drzwi, siedziała grupa mężczyzn z otłym przewodniczącym komisji po środku, a po bokach siedzieli młodszy praktykanci pracujący z Tierychowem przy odwiertach. Stałem w drzwiach i zameldowałem, że jestem gotów do drogi. Przewodniczący wstał, podszedł do mnie, wziął mnie za szyję i zaprowadził do stołu. Towarzystwo rozsunęło się i zrobiło mi miejsce obok przewodniczącego. Byłem zaskoczony tą niespodzianą życzliwością obcych mi ludzi. Przewodniczący stojąc zapytał: „Kak tiebia zawut małodaj czelawiek? Ryszard Pawłowicz – odpowiedział Tierychow. No ty siedź dzisiaj nasz drugi – mówił przewodniczący – wasz gienierał Sikorski podpisał dagawor z naszym batuszkom Stalinem i tiepier wmiestie bitć budim Germańca. Wypijom za wasze zdarowie, za pobiedu”.

Wypiliśmy dużo wódki. Oni coś jeszcze mówili, a ja myślałem tylko jak tu się urwać, pobiec do matki, do braci, do Polaków i obwieścić im radosną nowinę. W czasie libacji nie było mowy o wyjeździe w step. Z kołchoźnika, głośnika miejscowej rozgłośni, doszła nas wiadomość, że o godzinie 13-tej Wanda Wasilewska i generał Marian Józef Januszajtis będą przemawiali do Polaków w Związku Radzieckim. Po tej wiadomości pozwolono mi opuścić biesiadę i nie wracać do pracy. Przemówienia wysłuchaliśmy z wielką uwagą. Kobiety płakały, a nam młodym chłopakom skóra cierpła z wrażenia, że może już niedługo otworzy się przed nami świat. Tego popołudnia Inetta pocałowała

mnie na powitanie i spacerowaliśmy pod rękę, ku zazdrości moich kolegów i miejscowej młodzieży.

Pierwsze dni października. W Kazachstanie zaczynała się już zima. Rano padał deszcz. Poszedłem w step po Tamarę. Nie mogłem jej znaleźć. Nie było jej w tym miejscu gdzie zostawiłem ją poprzedniego wieczoru. Biegałem po stepie i po krzakach wzdłuż Irtysza. Nigdzie ani śladu po Tamarze. Myślałem, że może ją ktoś ukraść, albo wilki uprowadziły daleko w step. Po południu temperatura spadła o kilka stopni poniżej zera. Zmoczony ubranie zaczynało powoli sztywnieć i pokrywać się warstwą lodu. Szedłem w kierunku Pieszczan przez teren gdzie koszone trawę. Skręciłem nad rzekę. W zakolu Irtysza, w krzakach odnalazłem Tamarę. Wsiadłem na konia i truchtem pojechałem do domu. Odprowadziłem Tamarę do stajni. Wytarłem ją mocno wiechciem słomy i zameldowałem się u inżyniera. Wysłuchałem poleceń na dzień następny. Wyfasowałem pajok chleba, dostałem kieliszek wódki na rozgrzewkę i biegiem wróciłem do swojej ziemianki.

Na drugi dzień nie wstałem. Wysoka temperatura i bóle w klatce piersiowej zapowiadały silne przeziębienie. Brat powiadomił Tierychowa o mojej chorobie i dowiedział się, że koń też zachorował, kaszle i nie chce jeść. Ja po kilku dniach wstałem, a Tamara zdechła. W wyniku przeziębienia zaczęły pojawiać się czyraki na moich nogach i rękach i to po kilka na raz. Początkowo występowało zaczerwienienie, potem bolesny obrzęk, a wreszcie ropień. Poszedłem do lekarza. Lekarz skierował mnie do szpitala. Szpital był nieduży, kilka małych czteroosobowych sal, jeden lekarz i kilka pielęgniarek, w tym jedna Polka. W mojej sali leżał młody chłopak Wania i starszy Sybirak, który opowiadał ciekawe historie z czasów carskich, o rewolucji i o strasznym głodzie w latach trzydziestych.

Podczas tego pobytu w szpitalu gruchnęła wieść, że Wojenkomat daje skierowania ochotnikom do wojska polskiego organizowanego na terenach Związku Radzieckiego. Poruszenie wśród Polaków było niesamowite. Wiadomość tę przyniósł mi do szpitala brat Jasio i powiedział, że wszyscy moi koledzy już się zgłosili. Mają za dwa dni płynąć do Omska, a dalej pociągiem na tereny gdzie organizowane jest polskie wojsko. Co robić? Nogi zabandażowane. Najgorsze dwa czyraki pod lewym kolanem. Lekarz nie chciał słyszeć o wypuszczeniu mnie ze szpitala. W nocy dyżur miała siostra Ela. Przyniosła mi ubranie. Rozbandażowałem nogę. Czyraki spowodowały przykurcz w kolanie. Obudziłem Wanę. Uchwyciłem się mocno poręczy łóżka, a Wani kazałem pociągnąć za nogę. Noga się wyprostowała. Pocięła obficie ropa z przerwanych czyraków. Ulżyło.

Pod osłoną nocy poszedłem do ziemianki. Następnego dnia matka zmieniła mi bandaż. Upiekła kilka lepiosków, wysupłała kilka rubli i spakowała mi worek na drogę. Ubrałem się w resztę ubrania ojca i kozuch. Wieczorem mama i Jasio odprowadzili mnie na przystań. Na przystani była już Inetta z matką. Przy okazji poznały się z moją matką i razem czekaliśmy na statek z Semipałatyńska, który przyplynał o świcie. W oczekiwaniu na statek godziny dłużyły się niemiłosiernie. Tyle mieliśmy sobie do powiedzenia, a w rezultacie niewiele można było powiedzieć. Często zalegało przykre milczenie i patrząc na siebie, tak jakbyśmy chcieli dobrze zanotować w pamięci swoje obrazy. Żegnało mnie dużo osób, ale płakały tylko dwie, matka i dziewczyna. Ostatnie uściski, ostatnie słowa i ostatnie przestrogi.

Trzynasty października. Wczesnym rankiem znalazłem się na pokładzie statku razem z kolegami. Jeszcze chwila, syrena i statek powoli zaczął odbijać od brzegu. Sylwetki osób pozostawionych na brzegu zaczęły maleć i zacierać się w stale powiększającej się dali. Niektóre odchodziły na zawsze, inne na bardzo długo. Na statku byli już Polacy, przeważnie młodzież z kopalni glinki potasowej z pod Semipałatyńska, uczniowie z krzemienieckiego liceum. Jednego dnia wszyscy zostali aresztowani i wywiezieni na Sybir za akt wrogości wobec okupanta. Byłem chory, do czego nie przyznawałem się wcześniej. Miałem temperaturę i bolały mnie okaleczone nogi.

Nie pamiętam jak długo płynęliśmy do Omska, 300 kilometrów w dół rzeki. Jadłem lepieszki i popijałem herbatą. Spaliśmy na ławkach i na podłodze, gdzie się dało. Nawiązywaliśmy znajomości. Śpiewaliśmy patriotyczne piosenki i płynęliśmy do wojska z przydziałem do Saratowa. Omsk, duże stare rosyjskie miasto. Przewieziono nas z przystani na dworzec i kazano czekać na pociąg do Kujbyszewa, z tym, że nikt nie umiał powiedzieć kiedy nasz pociąg przyjedzie. Noc spędziliśmy na bruku pod stacją. Na stacji nie było miejsca. Rano obudziliśmy się pokryci grubą warstwą śniegu. Chciało nam się pić. Kolega poszedł do bufetu i kupił dwie butelki szampana. Nic innego do picia nie było. Wypiliśmy w trzy osoby, Zbyszek, Janek i ja. Zakręciło mi się w głowie, może i dobrze. Świat zobaczyłem w innym kolorze, a czas oczekiwania na pociąg znacznie się skrócił. Do pociągu wsiedliśmy po południu i ruszyliśmy w drogę. Mijane za oknem krajobrazy przypominały drogę przebytą w odwrotnym kierunku. Wtedy jechaliśmy w towarowych wagonach, w nieznane. Tym razem w wagonach osobowych, do wojska, a w perspektywie, jak Bóg da, do Kraju, do Polski.

Kujbyszew, bardzo duże miasto, położone na lewym brzegu Wołgi, szerokiej potężnej, legendarnej rosyjskiej rzeki. W owym czasie była to druga stolica Związku Rosyjskiego. Tu ewakuowano w czasie zagrożenia Moskwy przed inwazją niemiecką, wszystkie ważniejsze urzędy i ambasady. Tu mieściła się ambasada polska. Zgrupowano nas w budynku szkoły i kazano czekać. Powiedziano nam, że do Saratowa nie pojedziemy, ponieważ jest pod ostrzałem artylerii niemieckiej. Dostaniemy nowy przydział. Po kilku dniach dostaliśmy przydział do Buzułuku. Wsadzono nas w wagony, tym razem towarowe i wysłano w drogę. Do Buzułuku przyjechaliśmy w nocy. Długo staliśmy na stacji. Nie pozwolono opuszczać wagonów. Po jakimś czasie okazało się, że w Buzułuku nie ma już dla nas miejsca. Dołączyło do nas jeszcze kilkunastu ochotników. Na dowódcę przydzielili pułkownika Mączkę. Zaopatrzyli w worki sucharów, beczki śledzi i sera i wysłali w dalszą drogę na południe, do Uzbekistanu, podając stację przeznaczenia gdzieś w okolicy Taszkentu.

Jechałem w wagonie dowódcy. Sama młodzież, tylko pułkownik różnił się wiekiem, miał około pięćdziesiąt lat. Ja byłem najmłodszy. Miałem wtedy siedemnaście lat. Nie wiem jak to się stało, zrobiono ze mnie zaopatrzeniowca. Do moich obowiązków należało pilnowanie zapasów żywności, rozdzielanie raz dziennie na wagony, a w swoim wagonie dzielenie na porcje. Dzielenie odbywało się na oczach wszystkich zainteresowanych i głodnych ludzi. Broń Boże, żeby komuś dostało się mniej lub więcej niż mu się należało. Najtrudniej było dzielić ser bez wagi. Darzono mnie zaufaniem i nikt nigdy nie zgłaszał pretensji. Podróż trwała kilka dni. Dla zabicia czasu, zwłaszcza wieczorami przy jed-

nej świecy w wagonie, pułkownik opowiadał przeczytane książki. Opowiadał tak ładnie i obrazowo, że wystarczyło zamknąć oczy, a widziało się obrazy malowane jego słowami. Jedna opowiadana przez niego książka utrwaliła mi się dobrze w pamięci. Wiele razy przy różnych okazjach treść tej książki, oczywiście nie tak ładnie jak mój pierwszy dowódca, przekazywałem swoim słuchaczom w szpitalu i w sanatorium. Była to historia biednego studenta z Londynu, który przez przypadek wcielił się w lorda. Zbankrutowany lord popełnił samobójstwo zamieniając uprzednio dowody osobiste z upitym do nieprzytomności studentem bardzo podobnym do niego.

Zbliżaliśmy się do stacji przeznaczenia. Pociąg zatrzymał się na małej stacyjce. Z budynku stacji wyszła młoda dziewczyna, machnęła czerwoną chustką i pociąg pojechał dalej. Dokąd? Nikt jak zwykle nie umiał powiedzieć. Jechaliśmy mijając stacje i stacyjki i nikt się nami nie interesował. Minęliśmy Taszkent i co bieglejsi w geografii twierdzili, że wiozą nas na wschód, w kierunku granicy Chin i Afganistanu. Końcowa stacja na tej linii to Andinżan. Obok stacji piramidy białej jak śnieg bawełny. Pociąg stoi, a my czekamy w wagonach. Nic nie wiemy co nas czeka. To znaczy wiemy, że nie można opuszczać wagonów. Dostajemy kipiatok, suchary i czekamy. Mija jeden dzień, drugi i nic się nie dzieje. Kilku śmiałków przeprowadziło wywiad wśród kolejarzy i dowiedzieli się, że do granicy z Afganistanem jest zaledwie dwadzieścia kilometrów. Postanowili uciekać tą drogą do Anglików okupujących w tym czasie Afganistan. Następnego dnia przyprowadzono ich pod strażą i wsadzono do wagonu. Zamknęli nas wszystkich w wagonach i ruszyliśmy tym razem na zachód w stronę powrotną. Ucieczka nie udała się. Granica była dobrze obstawiona wojskiem. Śmiałkowie nie znali terenu. Zostali ostrzelani, ale na szczęście nikt nie zginął, ani nie został ranny.

Kokanda. Pierwszy przystanek. Przez odrutowane, małe okno w wagonie niewiele było widać. Dużo drzew, zieleni i tłumy ludzi w pobliżu stacji. Przy naszym wagonie rozmawiało dwóch konwojentów, młodych żołnierzy. Zaczęliśmy podsłuchiwać ich rozmowę, z której dowiedzieliśmy się, że wiozą nas na Kara Kum, to czarna pustynia na której sowieci budują kanały irygacyjne. W ten sposób chcą nawodnić pustynię i zamienić ją w urodzajną krainę. Praca tam jest bardzo ciężka, pracują więźniowie, a teraz będą pracować Polacy. Tym razem w wagonie byliśmy wszyscy z Kaczyr i okolicy. Z nami były dwie dziewczyny, Marysia i Wanda. Po krótkiej naradzie postanowiliśmy uciec z transportu, ale jak? Drzwi zamknięte od zewnątrz. Wpadłem na pomysł. Oddrutowaliśmy okienko, przez które mogłem wychylić się na zewnątrz i nawiązać rozmowę z jednym z żołnierzy, pilnującym naszego transportu. Był to młody, ładny chłopak, Rosjanin. Zastanawiałem się czym mógłbym go przekupić za otwarcie drzwi. Miałem w worku brzytwę, miseczkę i pędzelek. Zapytałem go czy ma przyrządy do golenia. Odpowiedział, że nie ma. Powiedziałem mu prosto z mostu. Towarzyszu chcecie dobrą germańską brzytwę, miseczkę i pędzelek? Chcę – odpowiedział. Otwórz drzwi, a ja z kolegą wyskoczę na stację i kupię coś do jedzenia – skłamałem. Daj najpierw, a potem zobaczymy – odparł konwojent.

Dałem mu obiecane rzeczy ryzykując ich utratę, bez nadziei spełnienia mojej prośby. Chłopak był jednak przyzwoiły. Rozejrzał się wokół, otworzył drzwi, a sam schował się za wagonem. Na to czekaliśmy. Prysnęło nas 15 osób.

Wszyscy z Kaczyr. Pozostałym zabrakło odwagi. Uciekaliśmy jak najdalej od stacji, na wypadek gdyby chcieli nas szukać. Pociąg odjechał, a my zostaliśmy i po pewnym czasie wróciliśmy na stację. Była noc. Szukaliśmy jakiegoś miejsca do spania. Na dworcu było pełno ludzi. Wśród podróżnych grasowali bezpryzorni, czyli młodociani przestępcy okradający śpiących. Trzymaliśmy się razem. Dołączyły do naszej gromadki jeszcze dwie Polki nauczycielki z Wołynia z dużymi walizkami. Znaleźliśmy kawałek wolnej przestrzeni na bruku pod płótnem opodal stacji. Tam rozłożyliśmy obozowisko.

Następnego dnia rano postanowiliśmy wyruszyć w poszukiwaniu jedzenia. Ja poszedłem ze Zbyszkiem Jabłońskim, a Jasio z Władkiem. Reszta pozostała z dziewczętami przy stacji pilnując walizek, worków i miejsc do spania. Do miasta prowadziła długa, szeroka i prosta droga, wzdłuż której po obydwu stronach płynęła woda płytkimi arykami, rowami irygacyjnymi. W środku Azji system nawadniania jest podstawowym warunkiem wszelkich upraw, a zwłaszcza bawełny. Woda w arykach czczona jest jak świętość. Aryki były wszędzie bardzo czyste i dobrze utrzymane. Nigdzie nie widziałem najmniejszego zanieczyszczenia, zwłaszcza w miastach, o co nie było trudno. W drodze do śródmieścia wstępowaliśmy do bardziej okazałych domów oferując jakkolwiek pracę za kawałek chleba. Nigdzie pracy nie dostaliśmy, chleba również. Brakowało go nawet miejscowym Uzbekom.

Zmęczeni, z pustymi rękami wracaliśmy na stację. Przechodziliśmy obok piekarni. Postanowiliśmy do niej wstąpić. Wszedłem pierwszy. W dużym pomieszczeniu, na stołach, leżały bochenki świeżego chleba i lepioszki. Była tam tylko jedna dziewczyna, która układała chleb na sterty według rozdzielnika. Obok niej były otwarte drzwi do następnego pomieszczenia. Zapytałem gdzie można znaleźć kierownika piekarni. Kierownika nie ma – odpowiedziała dziewczę i kazało wyjść. Zbyszek stał na zewnątrz za drzwiami i nas obserwował. Nie pytając o nic więcej wtargnąłem do drugiej izby, a dziewczyna za mną. W drugiej izbie było kilka kobiet w białych fartuchach. Wyjmowały chleb z pieców. Zrobiło się zamieszanie. W tym czasie Zbyszek wpadł do środka, chwycił dwa duże bochenki i opuścił piekarnię. Mnie wyrzucono na ulicę. Z daleka zobaczyłem uśmiechniętą gębę Zbyszka ze zdobyczą pod pachą. Dzień mieliśmy z głowy.

Kokanda była ładnym miastem. Było tam dużo zieleni i dużo drzew. Domy czyste, białe, a ludzie jak wszędzie smutni, małowówni i nieufni. Następnego dnia, po obudzeniu się stwierdziliśmy, że miejsca po Jasiu i Władku i dwóch przygodnie poznanych chłopakach są puste. Gdyby nie płacz nauczycielek po straconych walizkach myślelibyśmy, że Jasio wyruszył na poszukiwanie chleba. Okazało się jednak, że tamtej nocy pojechał do Buzułuku razem z Władkiem, a ponieważ był synem kapitana, prokuratora wojskowego, a Władek synem podoficera, zostali więc łatwo przyjęci do wojska i ominęła ich dalsza długa tułaczka. W Kokandzie nie mieliśmy co robić. Siostra Wandy po zwolnieniu z więzienia zatrzymała się w Samarkandzie, skąd wysłała list do rodziny w Kaczyrach i podała swój adres. Postanowiliśmy w czwórkę, Marysia, Wanda, Zbyszek i ja pojechać do Samarkandy na jej poszukiwanie. Wsiedliśmy do pierwszego lepszego pociągu jadącego w stronę Taszkontu i dalej na południe. Jechaliśmy oczywiście bez biletów, bo nie mieliśmy pieniędzy. Zamiast biletów wystarczyło powiedzieć, że jedziemy w poszukiwaniu wojska polskiego.

Samarkanda – następny przystanek w drodze do wojska. Podobnych przystanków będzie jeszcze wiele. Miasto meczetów, uniwersytetów i targowisk, tonące w zieleni jak wszystkie miasta środkowej Azji. Był koniec października i było jeszcze ciepło. Zaraz po przyjeździe wyruszyliśmy na poszukiwanie siostry z adresem w garści. Szliśmy w kierunku śródmieścia. Z prawej strony mijaliśmy kompleks białych, dużych budynków uniwersyteckich, a nieco dalej z lewej meczety pięknie inkrustowane, w kolorze niebieskim i szarym o strzelistych minaretach i kopułach. Śródmieście typowe dla dużych miast, piętrowe stare kamienice i wąskie ulice. Ta część miasta usytuowana była na wzniesieniu i dominowała nad całym miastem. Tu również było dużo drzew i krzewów. Po dłuższym błądzeniu odnaleźliśmy dom i mieszkanie podane w adresie, ale poszukiwanej siostry tam nie było. Wyjechała kilka tygodni wcześniej. Właścicielka mieszkania niewiele mogła nam powiedzieć. Urwał się kontakt i chyba na zawsze.

W drodze powrotnej na stację, gdzie koncentrowało się życie tułaczy Polaków, wstąpiliśmy na bazar obok jednego z meczetów. Tu Zbyszek wykorzystał swoje zdolności i spryt zaopatrzeniowca. Zwędził kilka marchewek, cebulę i jednego lepioszka. Nam pozostałym nic nie udało się zorganizować. Skromna zdobycz została sprawiedliwie podzielona i musiała wystarczyć na zaspokojenie głodu. Na stacji dowiedzieliśmy się, że działa polska delegatura, której urzędnicy raz dziennie wydają kartki na zakup i kawałek chleba do pobliskiej stołówki. Skorzystaliśmy z tej formy dożywiania z wielką radością. Spanie jak wszędzie na bruku pod płotem, przy stacji. Innych możliwości nie było. Chodząc na zakup i włączając się po bazarach spędzaliśmy czas w Samarkandzie. Ale co dalej? Nikt nic nie wiedział. Z każdym dniem przybywało coraz więcej Polaków, zwalnianych z więzień, łagrów i zsyłki. Władze radzieckie i uzbeckie musiały problem ten w jakiś sposób rozwiązać i rozwiązały. Pewnego dnia ogłoszono, że organizuje się wyjazd do pracy w okolicznych kołchozach, na okres kilku miesięcy, do czasu zorganizowania polskich jednostek na południu Uzbekistanu. Zgłosiliśmy się wszyscy. Znów wagony, nowe znajomości, nowe miejsce postoju w drodze do wymarzonego wojska.

Mała stacyjka i mała miejscowość w górach Pamiru. Nazwy nie pamiętam. Noc spędziliśmy w parku na ławkach głodni i zmęczeni. W nocy śnił mi się świeży chleb. Obudziłem się o świcie i poczułem zapach chleba. Nic dziwnego, spałem niedaleko ulicy, a po drugiej stronie była piekarnia i stąd ten zapach. Przeskoczyłem przez płot i wiedziony zapachem poszedłem do piekarni. Z piekarni wychodziła młoda Uzbeczka z kilkoma lepioszkami pod pachą. Nic nie mówiąc wyciągnąłem rękę, a ona, nie wiem czy ze strachu, czy z litości dała mi jeden bez słowa. Zjeść samemu, czy podzielić się z resztą paczki? To był problem. Ostatecznie zjedliśmy po kawałku we czwórkę.

Po południu Wojenkamat zorganizował zbiórkę przed swoją siedzibą. Staliśmy w kilku szeregach. Z budynku wyszli żołnierze i z wyglądu sadząc kierownicy okolicznych kołchozów ubrani w lisie czapy, siermięgi i szerokie pantalonki. Zaczął się targ niewolników. Chodzili między szeregami i wybierali ludzi do roboty. Próbowali nas rozdzielić. Dziewczyny wziął jeden, a nas dwóch inny przedstawiciel kołchozu. Nie daliśmy się rozdzielić. W końcu pierwszy zwyciężył i dobił targu biorąc całą czwórkę. Podjechały arby, duże

skrzynie zawieszono na dwóch wielkich kołach, zaprzężone w woły. Załadowano nas razem z innymi wcześniej wybranymi i w drogę. Było nas na tej arbie chyba dwanaście osób. Jechaliśmy dość długo, do późnego wieczora. Góry z lewej i prawej strony. Zielone łąki i gdzieś tam skrawki uprawnej ziemi. W innym miejscu, w rozległej dolinie większe uprawy jakiejś dziwnej rośliny, wyschniętej z białymi pięknymi kwiatami. Okazało się później, że była to uprawa bawełny dojrzałej do zbioru. Te białe kwiaty to bawełna.

Do kołchozu o nazwie „Dwadcatpiatowo Sientiabra” przyjechaliśmy w przeddzień uroczystości związanych z rocznicą Rewolucji Październikowej. Zakwaterowali nas w drewnianym budynku w dość dobrym stanie, położonym przy głównym placu w kołchozie. Budynek był na wysokiej podmurówce. Wchodziło się do niego, od ulicy, po drewnianych schodach. Składał się z dwóch izb, kuchni i dużego pokoju. W kuchni ulokowały się dziewczęta, a w pokoju sześciu chłopaków.

Uroczystości trwały trzy dni. Nic nie robiliśmy. Chodziliśmy po kołchozie, a wieczorami ucztowaliśmy razem z kołchoźnikami pijąc wódkę i jedząc baraninę gotowaną na mleku razem z sorgiem, lepioszki i ciemnoczerwone, słodkie kawony. Po trzech dniach świętowania, z Polaków przywiezionych do kołchozu, zorganizowano brygady pracy i pod wodzą brygadzysty wysyłano nas na plantacje do zbioru bawełny. Otrzymaliśmy worki do zawieszenia na szyi i w nie zbieraliśmy śnieżnobiałe puszyste kule. Suchłe łodygi i gałązki krzewów drapały i kaleczyły ręce. Był słoneczny i ciepły dzień. Praca początkowo szła żwawo, ale w miarę zbliżania się końca dnia zmęczenie dawało się silnie we znaki. W zależności od procentu wykonanej normy dostawaliśmy przydział chleba i coś do chleba, najczęściej ser albo kawałek gotowanej baraniny. Daleko nam było do wykonania normy w 100 procentach. Początkowo brygadzista dopisywał nam po kilka procent, ale oszustwo szybko się wydało i powróciliśmy do skromnej porcji żywności.

Po kilku dniach dziewczęta i ja zostaliśmy przeniesieni do innej roboty. Łuskaliśmy zielone owoce bawełny i wydłubywali niezupełnie dojrzałą, mocno zbitą bawełnę. Rozsypywaliśmy ją na płachty i suszyli na słońcu. Po dwóch, trzech dniach po wysuszeniu bawełna robiła się puszysta i nadawała się do pakowania w dwumetrowej wysokości wory. Kołchoz w którym pracowaliśmy i chałupy kołchoźników położone były w głębokiej, obszernej dolinie otoczonej ze wszystkich stron wysokimi, nagimi i dzikimi górami. Obok wioski przepływał malowniczy strumień przecinając zieloną łąkę na której pasło się duże stado owiec. Wieczorem i w nocy słychać było wycie szakali, które schodziły z gór na polowanie. Otaczały wioskę i cokolwiek żywego pokazało się w ich zasięgu stawało się ich łupem. W ten sposób ginęły psy, koty, zagubione owce i cielęta.

Naszym brygadzystą był syn właściciela majątku, któremu odebrali ziemię i zorganizowali na niej kołchoz. W okresie kolektywizacji jego rodziców zamordowano, a jego wysłano do domu dziecka. Po osiągnięciu wieku dojrzałości pozwolono mu wrócić w rodzinne strony i pracować w kołchozie. Był to przystojny młody człowiek, dobrze zbudowany, pogodny i przyjaźnie do nas Polaków nastawiony. Dużo mu zawdzięczaliśmy, a szczególnie ja. Zaprzyjaźniłem się z nim. Zapraszał mnie często wieczorami do swojego domu i dożywiał. Mieszkał sam. Pewnego dnia brygadzista powiadomił nas, że dom w którym

mieszkamy kołchoz przeznaczają na magazyn bawełny, a nas przenoszą za wieś do oliwkowego gaju, do letniego baraku. Mamy zaopatrzyć się w opał. Dostaniemy żelazny piecyk i dużo słomy, więc nie powinno nam być zimno. Pierwsze noce nie były złe. Ustaliliśmy dyżury do pilnowania piecyka w nocy i palenia w nim. Paliło się całą noc i było dość ciepło. Pod koniec listopada przyszły mrozy, zwłaszcza w nocy było dość zimno. Aryki pozamarzały. Tej nocy dyżur i obowiązek podtrzymywania ognia przypadł na mnie. Spaliłem drobne kawałki drewna i zostało tylko kilka grubych. Widocznie nie chciało się komuś porąbać na drobniejsze i tak je pozostawił. Ledwie wcisnąłem jeden kawałek od góry i w miarę jak się od dołu spalał, wciskałem go głębiej. Byłem zmęczony i chciało mi się spać. Nie wiem kiedy zasnąłem. Nie pilnowane drewno rozpałiło się całe. Ogień poszedł w rurę przetkaną przez ścianę między pionowymi słupkami przetkanymi wikliną i oblepioną nawozem krowim zmieszany z gliną. Słupki zapaliły się i wkrótce ogień przeniósł się na dach i nie było już mowy o ugaszeniu pożaru. Obudził nas dym i ogień. Barak spłonął doszczętnie. Kołchoźnicy też nie próbowali gasić. Nie było wody. Zostaliśmy bez dachu nad głową. Ulokowali nas w biurze kołchozu. Rano zaczęło się śledztwo. Posądzono nas o umyślne podpalenie żeby dostać inne pomieszczenie. Nikt się do winy nie przyznał. Kierownik kołchozu zadzwonił do NKWD i powiadomił o spaleniu baraków przez Polaków.

Około południa przyjechało dwóch enkawudzystów na białych koniach, a zaraz po nich dwóch podoficerów z Wojenkomatu na karych, i w naszej obecności zaczęła się kłótnia między nimi. Enkawudziści chcieli nas zabrać ze sobą, a żołnierze z Wojenkomatu przyjechali zabrać nas na stację i jak się później okazało, odesłać do Turkiestanu. Po co, nikt jak zwykle nie wiedział. Taki był rozkaz. Wygrał Wojenkomat. Jeszcze tego samego dnia znaleźliśmy się na arbach w drodze do stacji. Na stacji stały dwa eszelony – to znaczy dwa składy pociągów obok siebie. Jeden był gotowy do drogi, drugi wypełniano Polakami dowożonymi z okolicznych kołchozów. Dziwiło nas skąd tyłu naszych ludzi wygarnięto w tych dzikich stronach. Paczka nasza zajęła cały jeden przedział. Przez okno rozmawialiśmy z pasażerami z drugiego pociągu. Oni też nie wiedzieli gdzie nas powiozą. Wszyscy myśleliśmy, że może tym razem do wojska.

Marysia i Wanda wyszły z wagonu. Chciały przejść się wzdłuż wagonów i poszukać siostry, może akurat jest gdzieś między ludźmi. Wróciły bardzo szybko. Siostry nie znalazły, ale spotkały kogoś znajomego i zapragnęły jechać dalej z nim, młodym przystojnym podchorążym. Pożegnały się i odeszły. Marysia na zawsze, a Wandę spotkałem po wojnie w Ankonie. Była szefem w kompanii samochodowej. Dowódcą była kapitan Baczevska, żona słynnego Baczevskiego ze Lwowa. Przed wojną produkowali znane na całym świecie wódki. Wanda była mężatką. Wyszła za kapitana z zawodu prawnika. Nie miała ciekawego życia. Żał mi jej było. Traktowałem tę dziewczynę jak siostrę. Jej matka oddała mi tę dziewczynę pod opiekę.

Następnym miejscem przeznaczenia było miasto Turkiestan, na północny zachód od Taszcentu, a właściwie odległy o czterdzieści kilometrów duży uzbecki kołchoz, położony w gołym stepie. Tam właśnie, część z naszego transportu zawieźli arbami. Jechaliśmy cały dzień. Po drodze tylko raz mineliśmy kilka chałup i przydrożną czajhanę, czyli pomieszczenie w którym można było

napić się herbaty. Chaty w kołchozie do którego nas przywieźli były wszystkie z samanu, otoczone murem, też z tego materiału. Od strony ulicy ciągnął się mur z furtkami prowadzącymi na teren posiadłości kołchozu. Dziwne wrażenie robiły takie ulice bez domów, a mury bez okien. Zostaliśmy przydzieleni do poszczególnych członków kołchozu, tym razem bez targu niewolników. Mój Uzbek zbudził mnie wcześniej rano. Dał do ręki łopatę, kazał wejść na dach i zrzucić śnieg, który spadł tej nocy. Po zrzuceniu śniegu z dachów odgarnąłem go z całego podwórza. Kołchożnik miał kilka owiec i jedną krowę. Zadałem paszę zwierzętom, a potem usunąłem nawóz z ich pomieszczeń. Te wszystkie zajęcia zajęły mi czas aż do obiadu.

Pomieszczenie było duże, dwupoziomowe. Na niższym poziomie była kuchnia, czyli głębokie pękate wgłębienie w podłodze, w którym palono ogień. W otwór tego paleniska wkładano dużych rozmiarów żeliwny kocioł, a w nim gotowano zawsze tylko jedną potrawę, gęstą zupę z łazankami, baraniną i sorgiem. Po wyjęciu kotła i wygaszeniu ognia, do ścian wgłębienia przyklejano placki ciasta i w ten sposób wypiekano lepioszki, rodzaj naszych podpłomyków, jedzone zamiast chleba. Na podwyższeniu, do obiadu siadali mężczyźni przy wspólnej misie. W dole siedziały kobiety. Najstarszy wiekiem wyciągał udo baranie, odejmował mięso od kości i rzucał do misy. Oblizywał kości i rzucał kobietom, po czym wszyscy zabierali się do jedzenia. Zupa była gorąca. Wyciągnąłem z kieszeni łyżkę i chciałem sięgnąć po kawałek mięsa. Łyżkę zabrano mi i połamano. Kazano jeść palcami tak jak oni. Nie mogłem, mięso i łazanki były bardzo gorące. Sięgnąć ręką do misy też nie bardzo mogłem, bo górną część dłoni miałem zamalowaną gencjaną dezynfekującą ranę po pękniętym, dużym wrzodzie. Mimo usilnych prób ukrycia tego faktu, któryś z domowników zauważył ranę. Wyrzucono mnie z domu i dano mi małą miskę jadła w drewni, jak psu. Tego znieść nie mogłem. Poszedłem do kierownika i powiedziałem, że mnie wyrzucono. Dlaczego nie wiem i ja do nich nie wrócę. Ten zawołał brygadzystę i coś mu po uzbecku powiedział. Ten pokazał mi drzwi i kazał iść za sobą. Zaprowadził mnie do małej stajni. Wyprowadził konia. Dał mi widły i miotłę i kazał wyrzucić nawóz i pozamiatać. Powiedział, że przyniesie snopek słomy i będę tu mieszkał, a co dalej to się zobaczy. Była połowa grudnia, zimno ale bez śniegu. Pierwszą noc spędziłem sam. Na drugi dzień, włócząc się po kołchozie spotkałem Zbyszka. Narzekał na swojego kołchożnika. Zapytał gdzie mieszkam? Zaprowadził go do mojej stajni. Klawo jest powiedział. Przychodzę mieszkać do ciebie, tylko najpierw podwędzę coś niecoś do jedzenia swojemu gospodarzowi. Po godzinie Zbyszek wrócił niosąc za pazuchą lepioszki, a w kieszeni suszony ser. Na drugi dzień stopniowo zaczęli dołączać inni koledzy.

24 grudnia – dzień wigilii Bożego Narodzenia. Rano poszedłem w step nzbierać burzanów, toczących się po stepie, wyschłych, kulistych kokonów. Używaliśmy ich do palenia w naszym żelaznym piecyku. Zbyszek poszedł na wieś po zaopatrzenie. Przyniósł jednego lepioszka, garść sorga i kawałek suszonego owczego sera. Wigilia zapowiadała się nieźle. Wieczorem przyszło jeszcze kilku kolegów, w tym jeden Hucuł i jeden Żyd z Warszawy. Było nas ośmiu. Koledzy też przynieśli po kawałku nadgryzionego już lepioszka. Na piecyku ugotowałem sorgo z serem. Podzieliliśmy się lepioszkami jak opłatkami. Zjedliśmy po kilka łyżek sorgo i po wigilii. Żyd zagrał na fajerkach. Za-

śpiewaliśmy kolędy. Wymownie brzmiała kolęda „W żłobie leży”. Wspominaliśmy dawne dobre czasy w kraju i swoje rodziny. Życzyliśmy sobie rychłego dostania się do wojska, w które jeszcze ciągle wierzyliśmy. Wigilia i Boże Narodzenie jak w Betlejem, stajnia, żłób, słoma zamiast siana, a na niej kilku młodych ludzi z mglistą przyszłością. Po Nowym Roku następnii Polacy porzucili pracę u kołchoźników i przyszli zamieszkać do mnie. Ledwie mogliśmy się pomieścić w tej małej stajence. W tej sytuacji kierownictwo kołchozu przydzieliło nam wolno stojącą chałupę z samanu, o jednym dużym pomieszczeniu z piecem kuchennym i *prygonem*, czyli dużą sienią.

W nowym lokalu zamieszkało dwanaście osób, a mianowicie: Paweł Pleśniewski – powiat Kołomyja, poczta Koszów, wieś Michałków; Halina Domińska – Suwałki, państwowy tartak, leśniczówka Płociczno; Iza Podobińska – woj. Białystok, poczta Tykocin, majątek Szelągówka; Stanisław Tracz – Jędrzejów, majątek Góry, pseudonim Powar Kopytko. Przed wojną kierowca dziedzica. W łagrach kucharz. W naszym zespole też pełnił tę funkcję; Piotr Boguty – inżynier z Warszawy; Jakub Młynarz – Warszawa ul. Podwale 40, sklep szkło, Żyd pseudonim Pytel Palimąka; Zbigniew Jabłoński – brak adresu. Zaopatrzeniowiec. Kolega z Kaczyr, pseudonim Rozsada; Kazimierz Engelgard – Rożyszcze, Wełniczka. Pseudonim Wajcha; Waclaw Figlar – Zaośce, powiat Zborów, woj. Tarnopol; Aleksander Chemyn – Borysław, Chorodyszcz ul. Wysoka 11, powiat Drohobycz. Pseudonim Pytuch; Kazimierz Lisiak – Tarnopol, ul. Cementowa 16, pseudonim Sołtys; Katarzyna Łukaszewiczówna – woj. Nowogródek, Koroszyn koło Baranowicz; Ryszard Glijer – Kowel, ul. Monopolowa 89, woj. wołyńskie.

Mieszkaliśmy wszyscy razem. Leżeliśmy pokotem na podłodze wzdłuż ścian. Dziewczyny na lewo chłopaki na prawo. Pracowaliśmy w ładowni bawełny. Pakowaliśmy bawełnę do dużych worków i ubijaliśmy do wyznaczonej normy. Ubijanie odbywało się nogami. Dla zabawy, a właściwie dla rozgrzewki drażyliśmy tunele w piramidzie bawełny i ze środka braliśmy ciepłą bawełnę. W tunelu było ciepło i przyjemnie. Raz taki tunel zawalił się i odciął mi drogę na zewnątrz piramidy. Dobrze napracowali się koledzy zanim mnie odgrzebali na pół uduszonego. Wypadek ten zachowaliśmy w tajemnicy przed brygadzystą i od tego czasu nie zabawialiśmy się w ten sposób.

Za pracę dostawaliśmy po szklance mąki na pracującego. Dziewczęta i ja nie zawsze pracowaliśmy. Ja stale dostawałem nowych czyraków na całym ciele. Iza za łyżkę lub widelec ze swego zestawu ocalałej platerki dostawała od miejscowego felczera maść, którą próbowała leczyć moje rany i łagodzić cierpienie. Wiele tej dziewczynie zawdzięczam. Stasio Tracz był wspinałym kucharzem. Z mąki i wody codziennie wyczarowywał nowe potrawy. Jakby się nie nazywały, zawsze była to mąka i woda. Jadłospis mieliśmy ustalony na cały tydzień, a mianowicie: poniedziałek – rwoki; wtorek – szczypoki; środa – zacierka; czwartek – kluski; piątek – łazanki; sobota – kluski kładzione; niedziela – makaron.

To nieważne, że makaron był bez jajek, ale był cienko pokrojony i zawsze smakował inaczej niż rwoki. Apetyty dopisywały. Nic się nie marnowało. Po kilku tygodniach takiego odżywiania, zaczynały krwawić nam dziąsła i ruszać zęby. Szkorbut – brak białka i witamin. Stasio Tracz zdecydował. Polujemy na psy. W okolicy naszej chałupy często kręcił się ładny, duży, tłusty pies.

Ustaliłem ze Stasiem w jaki sposób zwabić go do sieni i zabić. Jeden z nas zostawi trochę gorących klusek w misce. Miskę wystawimy do sieni i otworzymy drzwi. Pies musi poczuć zapach klusek i wejdzie do sieni, a wtedy będzie nasz. Pies wszedł. Stasio wyskoczył przez okno i zamknął drzwi. Mieliśmy psa w sieni i co dalej? Stasio miał przygotowany żelazny pręt. Podczas gdy głodny pies wylizywał miskę, Stasio rąbnął go w łeb. Połowa sukcesu za nami. Pies nie żył. Stasio wbił pręt w ścianę. Związał tylne łapy i zawiesił psa na pręcie. Szybko ściągnął skórę i oprawił tuszę. Wnętrznosci, łeb i inne odpady zawinęliśmy w skórę i zakopali niedaleko naszej chałupy. Zakopaliśmy dość płytko i od tego czasu wszystkie psy omijały nas z daleka. Po następne psy musieliśmy chodzić na drugi koniec wioski. Iza następną łyżkę wymieniła na kilka główek cebuli. Część mięsa ugotowaliśmy, a resztę usmażyli z cebulą na psim tłuszczu. Zapach był przyjemny i wzbudzał apetyt. Pierwszego psa jadło nas tylko czterech: Stasio, Zbyszek, Kazik i ja. Trzeciego jedli już wszyscy. Właściwie nie jedliśmy, a żarliśmy. Mięso było twarde bez względu na to jak długo było gotowane czy smażone, ale kuracja poskutkowała. Krwawienie po pewnym czasie ustało, a zęby powróciły na swoje miejsca. Właścicielem pierwszego psa był prawdopodobnie przewodniczący kołchozu. Nie wiem w jaki sposób miejscowa ludność dowiedziała się, że Polacy jedzą psy. Rozeszła się wieść po wsi, że po psach Polacy zaczną jeść ludzi. Sprawą zainteresowało się NKWD, ale nie mogli nam udowodnić przestępstwa.

Odżyliśmy trochę podczas ślubów i wesel. U Uzbeków był bowiem taki zwyczaj, że w czasie godów, które odbywały się na dziedzińcu pana młodego, w bramie stał jeden z domowników i zapraszał na poczęstunek wszystkich przechodzących ulicą przed weselnym domem. Parami spacerowaliśmy ulicami przy których odbywały się wesela. Zapraszano nas i usadzano przy matach. Przy jednej macie siedziało zwykle około dziesięciu biesiadników, a czasami i więcej. Staraliśmy się siadać osobno. Uzbeki, zwłaszcza starsi, wiedzieli, że nie dojadamy, więc zostawiali na macie część lepiosków i mięsa. Ostatni odchodzący od maty miał prawo zabrać wszystko co pozostało jeszcze do zjedzenia. W ten sposób robiliśmy zapasy na kilka dni.

Minął styczeń, zaczął się luty, a o poborze do wojska nic nie było słychać. Co prawda siedzieliśmy w dziurze zabitej deskami. Któregoś dnia ustaliliśmy, że musimy wysłać kogoś do miasteczka dla przeprowadzenia rozeznania w sytuacji na świecie. Wybór padł na Zbyszka. Złożyliśmy się wszyscy na jego wyposażenie do podróży. Jeden dał buty, inny spodnie. Ja dałem kozuch i wojskowy pas. W ten sposób wyposażony Zbyszek ruszył w daleką drogę. Mijały dni i tygodnie, a naszego delegata nie było widać, nie wracał. Siedziałem w domu, bo bez kozucha nigdzie nie mogłem wyjść. Powoli traciliśmy nadzieję na powrót Zbyszka. Pod koniec miesiąca wreszcie się zjawił rozpromieniony, odżywiony z bagażem pomyślnych wiadomości. W Turkiestanie jest już polska delegatura i przyjmuje zgłoszenia do wojska. Za kilka dni wyrusza pierwszy transport na komisję wojskową gdzieś za Taszkent. W chałupie zrobił się ruch. Byliśmy gotowi natychmiast wyruszać w drogę. Rozsądek zwyciężył. Czterdzieści kilometrów do miasta, a wszyscy osłabieni. Trzeba było liczyć się z tym, że będziemy musieli maszerować co najmniej czternaście – piętnaście godzin. Tak też było. Wyruszyliśmy następnego dnia jeszcze po ciemku i dotar-

liśmy do miasta w nocy. Rozlokowano nas po kątach gdzie się tylko dało, a następnego dnia zaczęto organizować wyjazd. Do stacji maszerowaliśmy czwórkami śpiewając wojskowe piosenki.

Wysiedliśmy na małej stacji za Taszkentem. Opodal stacji było biuro Wojenkamatu – Sowieckiej Komisji Wojskowej. Tu władze sowieckie załatwiały wstępne formalności związane ze skierowaniem do wojska. Gdzieś w drodze, paczka nasza rozpadła się. Zostałem tylko ze Zbyszkim Jabłońskim, wiernym druhem. Stajemy przed komisją. Pierwszy przyjęty, drugi i następny też. Wychodzą na drugą stronę budynku. Kolej na mnie. Wasze papiery – dałem metrykę urodzenia i legitymację szkolną. Dwudziesty czwarty rocznik – mówi członek komisji – dzieci do wojska nie wysyłamy. Wracać. Następny. Gdzie wracać – pytam? Za drzwiami – dostaję odpowiedź! Wyszedłem. Rozpacz. Co robić?

W pewnym momencie podszedł do mnie żołnierz rosyjski. Nie przyjęli? Młody? Daj metrykę – wziął pióro, umaczał w kałamarzu, przerobił czwórkę na trójkę i kazał mi wracać na komisję. Wróciłem. Nieśmiało dałem przerobioną metrykę, tym razem innemu oficerowi. Spojrzał na mnie i powiedział: w porządku. Przyjęty. Dołączyć do czekających za domem. Po godzinie znów wsiedliśmy do pociągu i po jakimś czasie wysiedliśmy na stacji Czok Pak. Dostaliśmy skierowanie do 8 Dywizji Piechoty. Stacja, a obok niej jeden długi barak. Za barakiem u podnóża wysokiej góry ustawiono niewielkie namioty. Dostałem przydział do kompanii technicznej, zadaniem której było między innymi kucie jam w kamieniach w których chowaliśmy zmarłych. Były dni, że ich liczba sięgała dwudziestu ośmiu. Dowódcą kompanii był podporucznik Żyd z Łodzi, dobry chłop. W namiocie w którym mieszkałem było jeszcze pięciu innych wiarusów, towarzyszy niedoli. Namiot tylko z nazwy, a właściwie była to jama wykuta w skale i przykryta z góry płachtą brezentową. Spaliliśmy na słomie rzuconej na kamienie. Było zimno. Wiatr często zrywał płachtę i trzeba było od nowa zabezpieczać i obsypywać boki kamieniami, a w czasie deszczu kopać rowki odprowadzające wodę.

Któregoś dnia zachorowałem. Wysoka temperatura, bóle brzucha i nic więcej nie pamiętam. Straciłem przytomność. Oprzytomniałem po kilku dniach. W namiocie byłem sam. Nie wiedziałem gdzie jestem i co tu robię. Po jakimś czasie przyszedł obcy mi człowiek. Zapytał czy chce mi się pić. Dał mi blaszankę z jakimś ciemnym płynem, na dnie było coś miękkiego. Zapytałem co to jest. Mój opiekun powiedział, że to jest moczony, przypalony chleb. Kazał mi to wypić i zjeść chleb. Poprosiłem żeby powiedział co tu robimy i gdzie jesteśmy. Dowiedziałem się, że byłem bardzo chory na tyfus brzuszny. Pięciu moich kolegów zabrali do szpitala, a mnie komisja lekarska nie chciała zabrać. Powiedzieli „puskaj pomierajet zdzieś”. Byłem najbardziej chory z nich wszystkich, a przy tym nieprzytomny. Mój wybawiciel przeniósł się do mojego namiotu i zaopiekował się mną, a w zamian fasował mój prowiant i może czekał na moja śmierć. Był to chłop spod Łucka. Nie wiem skąd wpadł na pomysł karmienia mnie zwęglonym chlebem, ale jak później się dowiedziałem, było to w tych warunkach dobre lekarstwo na moją chorobę. Stopniowo wracała mi pamięć, ale byłem bardzo słaby i nadal miałem gorączkę, która nie opuszczała mnie jeszcze bardzo długo.

Po wojnie dowiedziałem się, że jednym z członków komisji wizytującej nasz obóz był, z ramienia polskich władz, Panek z Pieszczań, z sąsiedniego kołchozu. Był on świadkiem mojej ciężkiej choroby. Słyszał decyzję komisji i nie mógł mi pomóc. Po jakimś czasie Panek pojechał po swoją matkę do Piesz-

czan i powiedział jej o mnie, że na pewno umarłem w Czok Paku. Wiadomość o mojej śmierci szybko dotarła do Kaczyr, do mojej matki. Od tego czasu, każdego pierwszego listopada świecono świece przy mojej fotografii na skrzyni pod oknem i odmawiano wieczny odpoczynek, modlono się za moją duszę.

W kilka dni później, wczesnym rankiem usłyszałem ruch koło namiotu, głośne komendy i nawoływania do zbiórki. Chwilę później uspokoiło się i szef kompanii zaczął wyczytywać nazwiska członków mojej kompanii. Usłyszałem swoje nazwisko i zaległa cisza. Ponownie głośniejsze powtórzone i padła odpowiedź – został w namiocie. W tym momencie usnąłem. Raptem czuję, że ktoś mnie tarmosi i coś krzyczy. Okazało się, że sam szef przyszedł zobaczyć co się ze mną dzieje. Wstawaj durniu – krzyczy szef – i dołącz do kompanii. Idziemy na szachty, do nieczynnej kopalni, do wojska. Nie zostaniesz tu sam żeby cię szakale pożarły. Wstałem, dołączyłem do kompanii i powlokłem się za nimi do baraku przy stacji. Tam znów komisja lekarska i odprawa na szachty. Staję przed stołem komisji jako ostatni. Nazwisko, imię, imię ojca – pyta członek komisji. Cisza. Nie pamiętam – odpowiadam przerażony. Co z wami? – słyszę podniesiony głos innego członka komisji. Nie pamiętam – odpowiadam potulnie i rozglądam się po sali.

Nie wiem jakby to się skończyło gdyby nie szef, który miał listę swoich podopiecznych i podał moje dane urzędnikowi. Lekarz spojrzął mi w oczy, zbadał puls i zapytał. Dojdiesz dzieciaku do szacht osiem kilometrów po błocie i wodzie. Jesteś chory? Muszę dojść – odpowiedziałem i doszedłem, ale jak.? Przed wyruszeniem w drogę każdy kandydat na żołnierza musiał zabrać ze sobą jedno polano drewna na opał i zanieść na szachty, na miejsce koszar 8 Dywizji Piechoty. Mnie od tego obowiązku zwolniono. Koledzy rażno rozpoczęli marsz do wyznaczonego miejsca postoju. Dla nich droga nie była uciążliwa. Z każdą minutą powiększała się odległość pomiędzy mną, a kompanią. Na mnie już nikt nie zwracał uwagi.

Topniejący śnieg tworzył na drodze błotniste kałuże. W jednej z nich odpadła mi przegnita zelówka w jednym bucie. Na szczęście miałem w kieszeni kawałek sznurka. Przywiązałem ją do cholewki i choć w bucie było mokro, ale szło się lepiej niż boso. Często musiałem odpoczywać przysiadając na przydrożnych kamieniach. Kompania była już na miejscu, a ja miałem jeszcze kawał drogi do przybycia. Po południu zaczęły mijać mnie grupy żołnierzy w pięknych khaki mundurach i zielonych płaszczach. Szli na stację, mówiąc, że wszyscy po umundurowaniu wyjadą do ciepłych krajów, ale jakich nie było mowy, jak zwykle w wojsku. Obowiązywała tajemnica służbowa.

Do miejsca przeznaczenia dowlokłem się pod wieczór. Kazano mi iść do łaźni. Przed łaźnią dopalał się duży stos ludzkich łachów. Dorzuciłem też swoje. Białe sweterek zrobiony z wielbłądziej wełny trzeszczał w płomieniach, chyba dlatego, że w każdej dziurze siedziała wesz. Po kąpieli dostałem sorty mundurowe i pełne wyposażenie. Wszystko dobrze pasowało za wyjątkiem butów. Nie wiem jaki to był numer, ale ze trzy razy wymieniałem na mniejsze zanim dobrałem do nogi. Było to dopiero w Teheranie. Przez dłuższy czas nie poznawaliśmy się w tych pięknych mundurach.

Dostałem nowy przydział do 24 kompanii 8 Dywizji Piechoty. Kompania zakwaterowana była na strychu jednego z baraków. Na kolację dano nam ryż gotowany z mięsem wieprzowym. Co za ucztą. Kucharz spojrzął na mnie. Musiałem bardzo źle wyglądać. Wylał zawartość chochli do kotła i jeszcze raz zaczerp-

nał nią i wrzucił mi do menażki ryż z dużym kawałkiem tłustego mięsa. Zjadłem z apetytem bo byłem bardzo głodny, ale co się potem działo trudno opisać przyzwoitymi słowami. Nie znałem ani minuty ani godziny mojej wędrówki do znanego przybytku. Spodnie nosiłem w garści nie zapięte. Właściwie nie powinienem wychodzić ze spokojnej przystani. Dopiero kieliszek spirytusu, który dostawaliśmy codziennie, jako lekarstwo mające chronić przed licznymi chorobami, złagodziło moje dolegliwości. Pracowałem w kancelarii. Przepisywałem papierki, robiłem listy, spisy, jednym słowem wykonywałem czynności urzędnicze.

24 marca wyjechaliśmy do Krasnowodzka. W moim transporcie był cały batalion, około tysiąca chłopów. Do Krasnowodzka dojechało około 650, reszta po drodze została zabrana do szpitali. Sowietci robili na stacjach kontrole sanitarne i podejrzanych o zły stan zdrowia z podwyższoną temperaturą zabierali. Mnie koledzy w czasie kontroli chowali w przedziale z prowiantem za skrzyżniami i w ten sposób dojechałem do plaży w Krasnowodzku.

Po drodze była dłuższa przerwa w Bucharze. Zaprowadzili nas do miejskiej łaźni. Ze stacji do łaźni maszerowaliśmy czwórkami, kompania za kompanią. W nowych zielonych płaszczach, żółtych skórzanych pasach i spinaczach, oraz w czarnych butach, na tle szarzyzny sowieckiej i w porównaniu z ich wojskiem, wyglądaliśmy fantastycznie. Ludzie na chodnikach zatrzymywali się, przyglądali się nam i żegnali bo takiego wojska nigdy nie widzieli, nawet na kolorowych obrazkach. Nie wiem dlaczego, ale nie śpiewaliśmy. Może dlatego, że nie wiedzieliśmy co nas czeka, ile jeszcze stracimy ludzi. W łaźni był tłok, ale ciepłej wody i mydła było pod dostatkiem. Chlapaliśmy się jak dzieci. Przed wyjściem z kąpieli w drzwiach stała hoża dziewczyna z kłakiem grubych nici na kiju, a obok niej na podłodze stało wiadro z jakimś brunatnym płynem. Wychodzący podnosił ręce do góry, a dziewczyna pędzlowała im pod pachami i w kroczu. Ja byłem prawie na końcu. Płyn w wiadrze został już prawie wychlapany. Na dnie zostało trochę gęstej mazi i tym uraczyło mnie dziewczę. Na drugi dzień nie mogłem chodzić. Miejsca poddane działaniu środka dezynfekcyjnego pokryły się bolesnymi bąblami. Mało jednej biedy. Do kilku nie gojących się ran po czyrakach doszło oparzenie i to w takich miejscach. Kilka dni byłem inwalidą wojskowym bez działań wojennych.

Plaża w Krasnowodzku robiła bardzo przykre wrażenie. Piasek czarny jak ziemia w ogrodzie mojego dziadka, stąd nazwa Kara Kum pustyni, która nad brzegiem Morza Kaspijskiego brała swój początek. Dzień był chłodny i pochmurny. Wszędzie, jak okiem sięgnąć plażę zalegali żołnierze. Ułożyłem się w jakimś dołku razem ze swoją drużyną i marzyłem o tym, żeby nie trzeba było nigdzie chodzić. Na szczęście suchy prowiant przynoszono na miejsce. Byłem oparzony, chory z podwyższoną temperaturą, a do rozmoczonych ran, zwłaszcza tych na nogach, przykleiła się wełniana bielizna. Przy ruchach odczuwałem ostre bóle. Jednym słowem nadawałem się do izby chorych, a nie do dalszej podróży. Zauważył to mój szef i wieczorem przyszedł do mnie i powiedział: Człowieku, jeżeli nie chcesz zostać w Związku Radzieckim to nawiewaj jutro rano pierwszym statkiem, bo inaczej wpadniesz w ręce lekarzy i zabiorą cię do szpitala, a potem nic nie wiadomo. Możesz zostać tu na stałe. Nie mogłem doczekać się dnia następnego, dnia 31 marca 1942 roku.

Z samego rana szef dał mi znak do ucieczki. W porcie stał już statek. Przed nędznym drewnianym mołem ustawiały się kompanie kawalerii. Przed wejściem

na molo stała drewniana skrzynia i dwóch żołnierzy. Wszyscy przechodzący wrzucali do niej ruble jakie jeszcze posiadali. Kawalerzyści mieli na kołnierzach kolorowe proporczyki. Ja miałem granatowy znaczek z żółtą wypustką, znak piechoty i w ten sposób łatwo było mnie rozpoznać. Tak też się stało. Jakiś gorliwy podoficer chwycił mnie za rękę na trapie przy wejściu na statek i krzyknął do sierżanta: Piechociaż na trapie. Co z nim zrobić? Wrzucić do morza – odpowiedzieli ze śmiechem żołnierze przechodzący obok podoficera.

Sierżant, na pewno szef okrętującej się kompanii, kazał wpuścić mnie na statek. Podeszedł do mnie i zapytał: Co tu robisz? Gdzie twoja kompania? Z jakiej jesteś dywizji? Jestem z 8 Dywizji Piechoty – odpowiedziałem przestraszony. To nie ten statek. Wasza dywizja odpływa następnym dziś po południu – poinformował mnie sierżant. Wyglądał na porządnego starego wiarusa, więc powiedziałem mu szczerze: Jestem chory. Jak mi pan nie pozwoli odpłynąć tym statkiem, to złapie mnie komisja lekarska i zatrzyma na Kara Kum chyba na zawsze. Choć synu, przeforsujemy cię. Poczekaj tu na mnie, zaraz wrócę.

Sierżant nie wrócił. Ostatni żołnierz wchodził na pokład. Przemknąłem razem z nim niezauważony. Statek począł powoli odpływać od brzegu. Teraz byłem pewien, że nikt mnie nie zatrzyma w Kraju Rad. Żegnałem ten kraj z radością w pochmurny, ciemny deszczowy dzień. Dzień ciemny i smutny jak wszystko w tym kraju. Statek miał tę samą nazwę jak kołchoz w Tadżykistanie. Płynąłem na sowieckim statku, a mnie mówiono, jak wróciłem do kraju, że wojsko nasze uciekło ze Związku Radzieckiego. A co to za ucieczka statkiem państwa z którego się ucieka. Prowiant na drogę to dwa śledzie i dwa suchary. Byłem głodny. Zjadłem jednego śledzia. Siedzący obok mnie starszy żołnierz kazał mi drugiego śledzia wyrzucić za burtę. Chłopie nie jedz śledzi – powiedział – nie wytrzymasz z pragnienia. Nie wiadomo czy dasz radę dopchać się do wody.

Miał rację. Już po chwili odczułem pragnienie po zjedzonym śledzia i z powodu podwyższonej temperatury. Wodę słodką pobierano tylko z jednego kranu, z którego sączyła się ona słabym strumieniem. Ponadto trudno było dopchać się z menażką do kranu. Położyłem się przy burcie i spijałem rozlewając wodę z pokładu. Następnego dnia – pierwszego kwietnia w godzinach popołudniowych zobaczyłem na horyzoncie skąpane w słońcu piaszczyste plaże Persji.